

SŁOWO

REDAKCJA I ADMINISTRACJA

70, Faubourg Poissonnière

Paris (X^e)

Telefon: PROvence 12-73.

Konto czekowe P.K.O. Nr. 74

adres P.K.O. w Paryżu:

23, rue Taillbout

Ceny ogłoszeń

za wiersz petitowy na str. 4-ej - 8 fr.

w tekście - 20 fr.

Redakcja rękopisów nie zwraca.

Najlepszą polską propa-
gandą byłaby polska po-
moc okazana Finlandji.

ROK XVIII. Nr. 4. 11 LUTEGO Février 1940 roku.

"SŁOWO" — "LA PAROLE" HEBDOMADAIRE POLONAIS.

Otmar

Krwawa zorza północna

Sztokholm

Wracam z Finlandji. Wracam pod bardzo głębokim wrażeniem — z mieszanymi uczuciami: podziwu dla tego bohaterskiego 3 i pół-milionowego narodu, radości, że dotychczas wspaniale stawia czoło 50-krotnej przewadze liczebnej przeciwnika i... szczerzej zazdrości.

Tak jest — mamy prawo zazdrości Finom ich wielkiego talentu organizacyjnego, doświadczonego i bohaterskiego dowództwa, wręcz niespotykanej gdzieindziej ofiarności absolutnie wszystkich warstw społeczeństwa.

Pod koniec drugiego miesiąca działań wojennych zastałem sytuację jeśli chodzi o front — zasadniczo z pierwszego tygodnia wojny: bolszewicy tylko w dwóch miejscach znajdowali się w odległości 40-50 km od granicy na ziemi fińskiej — na południe od Petsamo i na kierunku Salla no i na przedpolu linii Mannerheima; natomiast Finowie już w czterech miejscach walczą na terytorium sowieckim.

Niemniej imponująca sytuacja zastałem na tyłach, codziennie bombardowanych nieraz przez 400 samolotów sowieckich jednocześnie. Mimo to w całej Finlandji panuje wzorowy ład i porządek: bombardowania nie zdolają dezorganizować ani codziennego życia, ani administracji: prezydent Kallio i wszyscy ministrowie znajdują się w stolicy i biorą się na narady codziennie w innej miejscowości podmiejskiej, zaś naczelne dowództwo opuściło Helsinki, by znaleźć się bliżej frontu.

Ale też wielkie miasta zostały wyewakuowane jeszcze podczas trwania rokowań fińsko-sowieckich w Moskwie, zaś "alarmowa" mobilizacja odbyła się niemal równocześnie i poszła tym łatwiej, że Finlandja już w czasie pokoju ma pod bronią około 30 procent swych maksymalnych efektów, a mianowicie 25-tysięczną armię stałą i 100-tysięczny "Skydskar" (ochotniczy korpus ochrony) — którego każdy członek należy do kategorii strzelców wyborowych.

Ponadto kobieca organizacja przysposobienia wojskowego "Lotta Svärd" — zmobilizowała 120 tysięcy kobiet do służby pomocniczej.

Nadzwyczaj popularne i wręcz zdumiewające dzieło "Lotty" nie tylko wzorowo zorganizowały życie na tyłach, ale wyręczają mężczyzn absolutnie we wszystkich czynnościach pozaliniowych na froncie: pełnią służbę sanitarną, łączności, a nawet służbę alarmową obrony przeciwlotniczej w walczących oddziałach, lub w bateriach nadbrzeżnych.

Są to rzeczy po prostu zdumiewające: piszący te słowa nieźle znał Finlandję — corocznych niemal pobytów przed wojną. Na ulicach widział się minimum mundurów, żołnierz fiński wyglądał niepozornie, armia stała, składająca się z wszystkich z trzech dywizji — dopiero w sierpniu 1939 roku odbyła na przesmyku Karelskim swe pierwsze manewry na większą skalę. Wiadomo było, że istnieje wybudowana przy pomocy specjalistów belgijskich linia Mannerheima plus wyjątkowo korzystne dla obrony warunki terenowe, że istnieje "Skydskar" i "Lotta Svärd" — mimo to w codziennym życiu Finlandji nie wyczuwało się tak obcego, i, jak się okazało w praktyce tak imponująco skutecznego wysiłku obronnego.

O zdolnościach Finów wszyscy byli zawsze najlepszym zdania. Kraj ten, którego jedyne bogactwem są lasy i w którym jeszcze 30 lat temu zjawisko głodowej nie należało do rzadkości — osiągnął w ciągu 21 lat niepodległego bytu wręcz skandynawską stopę życiową swych mieszkańców — w dodatku, jak w całej Skandynawii stosunkowo bardzo wyrównaną. W czterech państwach północnych istnieje, oczywiście duża rozpiętość, jeśli chodzi o stan posiadania poszczególnych jednostek, natomiast każdy obywatel ma zapewnione dość wysokie minimum egzystencji.

Owa sprawiedliwość społeczna, szczerze i uczciwie wcielona w życie — stanowi niewątpliwie jedną z podstawowych przyczyn dotychczasowego zwycięskiego oporu Finlandji — zwłaszcza z takim przeciwnikiem, jak bolszewicy — operującym bronią moralnego oddziaływania na niezadecydowane elementy w kraju nieprzyjacielskim.

Zagadnienie "mniejszościowe" (szwedzkie) — całkowicie zniknęło w obliczu wspólnego wroga, tym bardziej, że zawsze było raczej zagadnieniem "językowym" aniżeli narodowościowym.

Są to wszystko, oczywiście bardzo korzystne czynniki — mimo to byłem wręcz zdumiony, skoro w drugiej połowie stycznia wyładowałem o zmierzchu na zaciemnionym lotnisku w Abo (po fińsku-Turku) — długoletniej siedzibie Katarzyny Jagiellonki, dnia tego bombardowanym przez 6 godzin i zastałem normalnie funkcjonujące życie w zaciemnionym mieście, brak jakichkolwiek ograniczeń żywnościowych i... przedwojenne ceny — co jest dowodem nieznanym w innych krajach poczucia obywatelskiego t. zw. "sfer gospodarczych".

Finlandja walczy. Walczy nie tylko o siebie. Na 10-krotnie mniejszy naród spadała ta sama misja dziejowa wobec ludzkości, którą zwycięsko wykonała Polska w roku 1920.

Walczy pomyślnie, pomimo wręcz nieprawdopodobnego stosunku sił: na linii Mannerheima stosunek ten wynosi batalion fiński na dywizję sowiecką. Jest to zatem 9-10 krotka przewaga liczebna nacierającego przeciwnika — podczas gdy nauka wojskowa głosi, że na silnie umocnionej pozycji — już trzykrotna przewaga liczebna nacierającego przy równych wskaźnikach jakościowych — jest przewagą istotną.

Finlandja walczy minimalnymi siłami — oszczędzając swe szczerze rezerwy ludzkie na późną wiosnę, gdy Finom odpadnie przewaga nart i wytrzymałości na 40-stopniowe mrozy — a kanał bałtycko-białomorski podwoi możliwości komunikacyjne strony sowieckiej, ograniczające się narazie do codziennie niemal bombardowanej i niszczonej przez fińskie patroli nariarskie koleje murmańskie.

Finowie zdają sobie sprawę, że lato może być dla nich okresem krytycznym, jeśli nie wręcz beznadziejnym. Ale są zdecydowani walczyć do ostatniego człwieka — rozumiejąc, że stawką w obecnej wojnie fińsko-sowieckiej nie jest nawet sprawa ich niepodległego bytu państwowego, lecz poprostu fizyczne istnienie narodu.

Albowiem bolszewicy, którzy po sabotażu chłopskim w latach 1932-1933 nie zawahali się wysiedlić blisko 8 milionów ludzi z Ukrainy i północnego Kaukazu, którzy w r. 1935 wysiedlili Finów karelskich do Turkiestanu, tak że w ofiarowanej przez Stalina Kuusinenowi Wschodniej Karelii — znajdują się zaledwie kilkadziesiąt rodzin karelskich — napewno nie zawahają się przed masową deportacją 3 i pół miliona Finów.

Wiadomości z frontu brzmią, jak dotychczas, pomyślnie. Stosunek strat, jeśli chodzi o zabitych, odpowiadał w połowie stycznia stosunkowi liczebnemu obu narodów (1:50) — 50 tys. zabitych lub zamarniętych żołnierzy sowieckich na 1200 zabitych Finów.

Deniensia angielskie o 200-tysięcznych stratach sowieckich (w zabitych i rannych) są oczywiście przesadą. Natomiast są całkowicie zgodne z prawdą obliczenia szwedzkie — wskazujące że każda śmiertelna ludzka ofiara bombardowań — kosztuje Sowiety samolot, których zestrojelono w Finlandji ponad 300.

Mimo to — na fińskich tyłach panuje nastrój bohaterskiego i pogodnego fatalizmu, który ogarnął również polską placówkę dyplomatyczną — jedyną pozostającą w bombardowanej stolicy, ewakuowanej przez korpus dyplomatyczny, co spotyka się z wielkim uznaniem walczących gospodarzy i zagranicznych obserwatorów. Niejedyn korespondent angielski z "pierwszej ekipy światowej", przebywającej obecnie w Finlandji prosił mnie o przedstawienie go ministrowi Henrykowi Sokolnikiemu, by móc mu z najwyższym szacunkiem uściśnić dotychczasowe.

W drodze powrotnej do Sztokholmu podczas 6-godzinnego bombardowania Abo, choć miałem, jako dziennikarz prawo kursowania po ulicach w czasie alarmu — spędziłem pół godziny w schronie, by zorientować się w nastrojach. Zastałem imponująco spokojną publiczność, czytającą gazety, lub jeśli chodzi o panie — robiące na drutach i nazywające żartobliwie codziennie parę godzin w schronie — "kwadransiem Molotowa".

Dalszy ciąg na str. 2-ej



Ś.p.

STANISŁAW ESTREICHER

Cały Kraków odchodzi. Z Krzyżanowskim i Estreicherem wymarli ostatni stańczycy, ostatni z tej wielkiej i świetnej plejady profesorów krakowskich, którzy przez pół wieku trzęśli Galicją, starą wszechnie otoczyli blaskiem świetności, nieznamy od XV wieku, z "Czasu" stworzyli trybunę na skalę europejską, z Krakowa kuźnię myśli politycznej. Z wielkich koryfeuszów Jagiellońskiego Uniwersytetu odszedł ostatni Stanisław Estreicher — i jego koniec był najtragiczniejszy: on właśnie — ongiś tak atakowany, jako germanofil — zmarł za drutami hitlerowskiego obozu koncentracyjnego, on który całe życie walczył o prawo, o panowanie godności ludzkiej, o uczciwość w stosunkach politycznych...

Estreicher miał trzy wielkie umiłowania w życiu: Kraków, Uniwersytet i "Czas". Był typem mieszczańskiego patrycjusza fanatycznie przywiązanego do swego miasta, do jego zabytków, do jego tradycji. Nigdy chyba nie pisał lepiej, namiętniej, z większą pasją i z bardziej zjadliwym sarkazmem, niż gdy broił przed atakami ukochane miasto. Był nie do pomysłenia poza Krakowem. W Warszawie czuł się obco i bywał w niej niechętnie. I nawet po Krakowie poruszał się mało: rano szedł plantacjami do biblioteki i uniwersytetu, wieczorem do "Czasu", a pozmiejszczal w swym gabinecie, przed ogromnym biurkiem, w fotelu, w którym zmarł wuj jego, Julian Dunajewski, i w którym — Rektor często mawiał — i on umrzeć by pragnął. Los tego mu nawet nie dał. Na wywczesny nie wyjeżdżał nigdy: powierzył bibliotekę doskonale mu służącej, lubił starożytności życia rodzinne, — i, nieraz, gdy się u niego piło herbatę, odnosiłem wrażenie przeniesienia jakgdyby żywcem w epokę Wiktorjańską, o dwie generacje wstecz, do okresu, w którym życie płynęło korytami ustalonymi, o moralności surowej, o zacięciu zlekka ascetycznym i moralizatorskim. Duchy starych stańczyków mogły spokojnie odwiedzać mieszkanie na Sobieskiego 10: poczuliby się tam w atmosferze, w której spędzili swe długie żywoty.

Drugą namiętnością Estreichera był uniwersytet: w to umiłowanie

Dalszy ciąg na str. 2-ej

ZEMSTA WALEZEGO

RADA NARODOWA

(Cat)

Premjer Sikorski otwierając uroczyste posiedzenie Rady Narodowej w Ambasadzie polskiej w Paryżu powiedział, że Rada ma kompetencje nieduże, lecz może odegrać wielką rolę i że to zależy od jej członków.

Słuszne słowa.

Rada Narodowa nie ma praw parlamentu, uprawnienia jej są daleko mniejsze od uprawnień tego nawet "Slawkowego" parlamentu, z którego tak lubią niektórzy się wyśmiać. Rada nie ma ani głosu stanowczego, ani pełnego prawa inicjatywy, ani prawa uchwalenia rządowi votum nieufności.

Zadanie każdego parlamentu polega na wypowiedzeniu potrzeb kraju i zarządzeniu tym potrzebom. Rada jest tylko quasi-parlamentem.

Zarządzać potrzebom nie może, bo niema władzy ustawodawczej, ani prawa wpływania na skład rządu. Ale potrzeby kraju może wyrażać. Może je głosić. Oczywiście będą to potrzeby tylko moralne, ideowe, potrzeby polityki przyszłości, teraźniejszego honoru, godności. I chociażby Rada wiedziała, że rząd tym potrzebom wobec swego tragicznego położenia sprostać nie będzie w stanie, powinna jednak te potrzeby głosić. Rada powinna być filtrem potrzeb narodowych. Sądzę że takie założenia miały też i premjer Sikorski, skoro powołał Radę nie na podstawie klucza partyjnego — lecz szukając możliwie pełnego odbicia opinii i kierunków w kraju.

Tworzenie centrolewów, czy centropraw jest zajęciem dość normalnym w parlamencie, który posiada dużą ilość partji i musi tworzyć kombinacje rządowe. W naszej Radzie byłoby to zajęcie wręcz anormalne. Poca bawić się w te kombinacje, kiedy Rada żadnego rządu nie wyłania, podczas gdy chodzi o to tylko, aby wyrażała swoje opinie o przyszłości Polski i to w sposób najbardziej przenikliwy. Nietylko odpadają kombinacje międzyklubowych kompromisów dla tworzenia rządu, ale także powinno zdobyć sobie wśród członków Rady należyte miejsce to przekonanie, że Rada to coś stokroć więcej niż rozgrywki partyjne, niż rozgrywki w kraju, że członkowie Rady jeśli mają spełnić swe zadanie muszą się umieścić na o wiele wyższym poziomie. Rada bowiem reprezentuje ambicje narodu, który sam swoich ambicji dziś wyjawiać nie jest w stanie.

ZEMSTA WALEZEGO

Chodzę po tym Angers, po nadbrzeżach mętnej rzeki, nad którą stoją drzewa zimowe, bezlistne. W półotwartym oknie mieszkania robotniczego, wciśnięta w szparę między szybami stała lalka. Twarzyczka nie z porcelany, lecz taka tańsza z masy, ubrana była w włóczkowy czepek i włóczkową sukienkę. Przypomniało to mi polskie dzieci, kochane polskie dzieci, które tam w dalekiej Polsce broniły naszego narodowego honoru, rzuciły się na tanki z butelkami benzyny, sztabczyki i sztabaczki, podczas gdy inni wywozili dywany. Dlaczego tak jest, że jesteśmy narodem odważnych kobiet i heroicznych dzieci?

Katedra o strzelistych wieżach, wielkie zamczysko, którego baszty poobcinał Henryk Andegawenski, przyszły król polski, nadając im dziesięć przysadzisty i mocny wygięty. Angers drugi raz wiąże swe imię z Polską. Niedługo dostał Andegawenski tytułem apanażu Henryk Walezjusz. Dzisiaj zamieszkuje je pan Władysław Raczkiewicz. Dżwona zemsta Walezego.

Andegawensja, Walezjusz, Walezja. Dzisiaj powiedziano by w żargonie, Anzu, Valois, tak jak w ojczyźnie mówiliśmy żargonem: "Deoka Grodno", "Deoka Poznań". Jakże pieścili nasi praojcowie nasz język, jakże rzeźbili cudzoziemszczyznę na swój sposób. Po króla Henryka przyjechał tu panowie w kontuszach ze złościami wschodniej materji — o wzorach ptaków i lwów wśród roślinnych splotów, — jak powiada historyk. Król Henryk miał najpiękniejsze ręce w całej Francji, lecz pozatem wydawał 100 tysięcy talarów na małe ljońskie pieski w których, się kochał i nosił kolczyki w uszach. Nam się nie podobał. Dzisiaj szukamy schronienia w jego mieście apanażem.

Myślę, że powinniśmy się nauczyć od Francuzów trochę konserwatywnego społecznego, którym tak przepojony jest ten kraj. Tutejsi ludzie, tutejsza robota i praca, to jak nasze liściaste drzewa w parkach: — sadzono je bez nadziei przechadzania się pod ich cieniem, sadzono je z myślą o tych, którzy się jeszcze nie narodzili, z myślą o wnukach i prawnukach. Tutaj — zauważę — każda powieść się zaczyna od tego kto był ojcem, a kto dziełem bohatera. "Nie dam szanbić swego nazwiska" — powiada bohater w filmie — "mój ojciec był odwiecznym w ministerstwie". Tutaj syn chłopca dumny jest z tego, że jego ojcowie i dziadkowie byli chłopami, tutaj piekarzyk Dauldier wspomina o swej piekarskiej generacji aż z przed rewolucji francuskiej, tu każdy myśli o dzieciach ale i o dziadkach. To u nas panuje kult "niepomniaszczich rodstwa" — jak kiedyś, w innej okazji powiedział gen. Żeligowski. Znam ludzi urodzonych w wilgotnych pokojach dworów, wśród luster zatechłych od trzech pokoleń, w pokojach na których sufity, świece osadzone w miedzianych stuletnich kandelabrach, rzuciły światło niespokojne i chybotające się, w pokojach, za oknami których tulili swe liście drzewa dumne, dostojne, godne. Kasztany, które u nas sadzono za Stanisława Augusta, lub topole, na które była u nas moda za Jana Trzeciego. Ludzie ci zapominali wszystko co ich łączyło z tradycją, z rodziem. To wpłył niewątpliwie "czynownictwo" rosyjskiego, które żyło w wagonach, mieszkało na walizkach, biurokratycznie przenoszone z miasta do miasta, z kraju do kraju. To wpłył asymilowanej inteligencji żydowskiej, która nie lubi wspominać rodziców, czuje się wśród tych wspomnień zażenowana, tak jak zażenowani są ci bohaterowie świetnej sztuki Stonimskiego "Murzyn Warszawski" gdy do nich zjeżdża ciocia z prowincji.

POLEMIKA
NA WŁASNYCH SZPALTACH

Jeśli zwywalimy wszystkich do szermierki i na palasie, to mieliśmy na myśli raczej ideologię na przyszłość, dyskusję o celach do których Polska dąży, a nie rozpatrywanie kwestji czy rząd ostatni był czy nie był winien.

Niestety, nie może być tutaj dwóch zdań, że wina ostatniego rządu jest ogromna, że wybielanie jego jest niemożliwe.

Otrzymaliśmy szereg artykułów w obronie Rydza, Becka, a nawet Ślawoja — nie drukujemy ich.

Dlaczego? Bo zamieszczą tych artykułów bez polemiki oczywiście nie możemy, a polemika z tymi artykułami jest zbyt łatwa. Winy są tu oczywiste, a rozdrapywanie i rozmazywanie tego wszystkiego jest przykre na emigracji.

To też z wszystkich artykułów polemizujących w taki czy inny sposób z naszym aktem oskarżenia pod

Dalszy ciąg na str. 2-ej

Krwawa zorza północna

Dalszy ciąg ze strony 1-cj.

A żołnierze fińscy walczą na przesmyku Karelskim i pod kręgiem polarnym z "lodową furją" — że użyję obrazowego określenia jednego ze szwedzkich korespondentów wojennych — świetnie określającego narodowy temperament Finów, którym oby Bóg nadał w porę tak dalece potrzebną pomoc i dał zwycięstwo, tak wspaniale zasłużono.

Krwawa zorza północna — oświetlająca lodowe pobojowiska Finlandji — jest symbolem rumieńca wstydu całej cywilizowanej ludzkości — gdyby ta pozwoliła zginać Tym, którzy samotnie walczą w jej obronie przeciwko najpotworniejszej nowoczesnej barbarii. Otmar

LIST DO REDAKCJI

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Czuję się zaszczyconym łaskawą propozycją współpracy w paryskiej edycji "Słowa".

Założenia pańskiego pisma tembardziej trafiają mi do przekonania, że zawsze byłem zwolennikiem dla Polski największej swobody myśli i największej dyscypliny uczuć. Uzgodniłbym jednocześnie, że zanim do tej kolaboracji przyjdzie, rozmówię się otwarcie na łamach pisma z p. Catem, o jego artykule "Przeszłość i przyszłość".

Artykuł ten jest, m. in. próbą ustalenia pewnej oceny wypadków i sądu nad niektórymi z rządzących.

Niepodobna, moim zdaniem, tego sądu należycie uzasadnić, jeśli się nie dokona wyraźnego podziału działalności politycznej w ogóle na jej dwa przyrodzone zakresy: wielkiej gry politycznej i małej politycznej gry. Zakres wielkiej gry politycznej to zakres idei, zakres wielkich procesów historycznych i wielkich prądów, płaszczyzna racji stanu. Zakres małej gry politycznej to taktyka, walka politycznych programów — hasel, fabrykowania nastrojów i popularna w Polsce domena personalji.

Pan Cat należy do nielicznych publicystów naszych, którym zakres wielkiej gry był stale dostępnym. Zresztą w pierwszym numerze paryskiego "Słowa" mamy żywy wzór w artykule p. Matuszewskiego. Słowem o pięknie nieporównanym daje on obraz sytuacji politycznej w płaszczyźnie wielkiej gry. Stwierdza p. Matuszewski, że polityka polska odrzuciła rachunek, który "radził paktować, odwlekać, układać się, dostosowywać, wykręcać". Polska polityka nie skorzystała z możliwości, jeśli nie uniknięcia, to odwołania walki, "za cenę wejścia w sferę wpływów za cenę sprzymierzenia się z którymś z burzycieli..."

"Zdając sobie sprawę, że konflikt wychodzi poza ramy naszych własnych interesów, Polska wzięła na siebie rolę przedniej straży, walkę podjęła, walczyła i walczy.

Nie bez słusności mówi o Polsce, p. I. Paderewski, jako o kraju "okrytym chwałą".

Nasuwa się więc wniosek. Decyzja Polski, jednomyślnie poparta, jest czymś dziełem i czyną zasługą.

W płaszczyźnie wielkiej politycznej gry, była przez kogós prowadzona w roku 1939 dobra polityka, ktoś podniósł naród polski do jej poziomu.

Czyja zasługa jest w tym okresie, niezłomność naszej woli niepodległości?

Historja zapewne ściśle określi jaką część zasługi winniśmy przyznać spuściznie i dziełu Józefa Piłsudskiego i jaka część przypadnie poszczególnym jego współpracownikom.

Bezstronność przyznać nakazuje, że mowa min. Becka z dn. 5 maja 1939 r. była decyzją polskiej najbardziej skryzalizowanym wyrazem. Odzwierciedlała ona jednocześnie nową rzeczywistość polityczną, stworzoną przez nasze sojusze.

W świetle tej ogólnej uwagi, jaśniejszym może się stanie to, co mam p. Catowi do powiedzenia o ustępkach jego artykułu, dotyczących małej gry. Należy, przedewszystkiem, podkreślić dwie drobne prawdy:

1) Każdy publicysta, każdy obywatel, każdy rząd winien na własny użytek i korzyść państwa, zdawać sobie sprawę z błędów popełnionych przez poprzednio rządzących, ale nikt niema prawa zapominać o ich zasługach, bo jest to ze szkoda dla państwa.

2) Żaden obraz wypadków ubiegłych nie będzie dokładny i żadna ocena nie będzie słuszną tak długo, jak długo decyzje i działania Polski będziemy rozpatrywać jako izolowane i niezależne od decyzji i działań innych państw.

Nie potrafię zrozumieć, co ma francuska żółta księga do rzekomej legendy o inteligencji min. Becka. Spryt i inteligencja, nawet razem wzięte, to na legendę o wiele za mało. Zamało także na właściwości polskiego ministra spraw zagranicznych. Czyżby p. Cat sugerował, że naszych ministrów oceniał mamy według wzorów kwalifikacyjnych dla referentów?

Wreszcie szczegół ostatni. Cytował mi Pan, Panie Redaktorze, piękne zdanie Louis Barthou, że "polityka to zawsze nadzieja". Istotnie publicystyka nasza wiązała z objęciem rządów przez premiera Sławoja-Składkowskiego, duże nadzieje.

Obecnie z pośród obywateli, niez zaangażowanych w wielkim okresie 1939 r. w funkcje odpowiedzialne, wyłącza p. Cat od wszelkiej winy gen. Sikorskiego, gen. Żeligowskiego, p. Doboszyńskiego i siebie.

Ekсклюzywność tego grona jest zapewne dystygnowana. Obawiam się jednak, że pewnej ilości czytelników wyda się nieprzekonywującą. Możeby jednak dopuścić jeszcze kilka nazwisk.

Takie są, Wielce Szanowny Panie Redaktorze, moje bardzo nieliczne, ale, mam nadzieję, zupełnie jasne zastrzeżenia. Byłem i jestem zwolennikiem pełnej swobody myśli i pełnej dyscypliny uczuć.

Zdarza się, że wubuch uczucia zaciemnia sytuację zamiast ją wyjaśnić. Zdarza się że nie jest źródłem publicznej korzyści.

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku i poważania.

W. Grzybowski.

ś. p.

Stanisław ESTREICHER

Dalszy ciąg ze strony 1-cj.

piękniejszego stosunku człowieka do pisma, w którym pracuje. Przez dwadzieścia lat, w lato i zimą, w pluchę i zawieje, punktualnie o godzinie piątej sunął Estreicher swym drobnym, a dziarskim krokiem do redakcji, śpiesznie i nie oglądając się, ocierając się prawie o stare mury. Gdy o piątej drzwi jedne, drugie i trzecie — do małego gabinetu, na lewo od korytarza — zatrząskiwały się głośno, w redakcji już wiadano, że "Rektor przyszedł". Po chwili zjawiał się, witał się z panią Wróblewską, westalką "Czasu" której patryjstyzm "czasowy" jedynie mógł się z Rektora porównać, i wchodził do gabinetu Beaupré'go. Choć obaj pracowali z sobą pół wieku i na swój sposób się bardzo lubili, byli z sobą per pan, i lubili wzajemnie na siebie utyskiwać; i ja, smarkacz dwudziestoletni, byłem zwykle odbiorcą tych obustronnych konfidencji. Beaupré był zawsze wesół i zabawny, opowiadał anegdoki i stale się mnie pytał, "co Kasia i Cesia parabiają" (dzisiejsza Ambasadorowa hr. Edwardowa Raczynska i jej siostra ś. p. Kasia Jaroszyńska). Pani Wróblewska była zawsze smutna i zbolala, Krzyżanowski pytał się o nowiny (bo był ciekawy i lubił plotki), a Estreicher słuchał — tak jak robił zresztą wszystko — poważnie i z uwagą, choć wiedział dokładnie, co kto powie i słyszał to samo po raz tysięczny. Gdy było coś ważnego, telefonował do Jaworskiego, a już największy był fajer, gdy przychodził Kot z wiadomościami z Warszawy od Sikorskiego: były to chwile tak uroczyste, że nawet mnie wyrzucano wówczas do administracji na rozmówki z Andżi Starzewską, Marysią Popielówną, czy Micią (biedaczka potem umarła). Waksberger odbierał telefon z Warszawy i nigdy nie słyszał, robiło to straszny hałas i zamieszanie. Wreszcie przychodził metrapaź, gruby Kuciel, wołając, że maszynki stoją, a "wstępno" niema: żaden dyktator nie był nigdy bardziej słuchany — pogawędki i narady kończyły się bez pożegnania, Estreicher gwał do swego pokoju, a Krzyżanowski, i Kot, i Srokowski i Franciszek Potocki, i kto tam jeszcze bywał uciekali, jak przed widmem, ja zaś cicho wsuwałem się za przegródkę do pokoiku Beaupré'go i z niewinną miną wyciągałem od niego, co też Kot przywiózł z Warszawy: naprzód zawsze Beaupré się zachnął, cisnął, fukał, że to nie do mnie należy, ale wiedziałem, jak się do niego zabrać, i w końcu wszystko wyciągałem. Potem chodziłem dumny, jak po Plantach, że znam tajemnicę stanu. Tajemnice, jak tajemnice, ale koledy i nawet redaktorzy "Kurjerka" witali się ze mną z szacunkiem. Ach, dobre, kochane czasy! Zawsze wspominam je z rozrzewieniem, wracam do nich z czułością, jak do wspomnień rodzinnych.

A tymczasem Estreicher na długich białych kartkach pisał "wstępno". Potem ja zwykle, kartkę po kartce, gdy tylko były napisane odnośnikiem je, dia pospiechu, do drukarni. Wydaje mi się że je widzę. Było ich zwykle pięć, z dużym marginesem, linijki biegly krzywo do góry, litery były mocne, wyraźne, nigdy poprawek czy wykreśleń. rzadko kiedy wstawka. Z biegiem lat, mimowoli przejąłem się manierą piersarską Estreichera. Od niego przejąłem wstręt do podpisu — Rektor nigdy swych artykułów nie sygnował, pisał artykuły tak samo, jednym tchem bez żadnych poprawek, tej samej przeciętnej długości — i nawet czasem się spostrzegam, że stylistycznie podświadomie naśladowuję Estreichera.

Estreicher był niewątpliwie największym publicystą swego pokolenia, o całą głowę przerastał talentem swych współczesnych rywali, dla których zresztą do końca życia żywił uczucia bardzo dalekie od przyjaźni i uznania. Talent jego był bardzo różny od wielkich publicystów następnego pokolenia, którzy zabłądli na horyzoncie dopiero w czasach gdy Estreicher zamikł. Estreicher miał przedewszystkiem znacznie głębszą kulturę klasycyzmu, obcą mojej generacji. Był to ostatni bodaj publicysta o ogólnej, humanistycznej kulturze, ostatni nie — specjalista, który umiał zawsze znaleźć piękną i trafną, i niebanalną łacińską sentencję która dla jego stylu była tem, czem jest piękny klejnot dla bogatej toalety. Miał on ogromne talenty formalne: pisał gładko, lekko, barwnie, język miał jedyny i bogaty. Był świetnym polemistą: wytwornym, giętkim, dowcipnym i zawsze kurtuazyjnym, co było tem godniejszym uznania, że z natury był człowiekiem namiętnym i gwałtownym, upartym i zawziętym. Najlepsze były zawsze jego artykuły na temat praworządności: wówczas wzbijał się na wyżyny patosu, gromił, karcił, z pod jego pióra wychodziły skargowskie akcenty. Miał charakter najwyższej próby: nie dał się nigdy zastraszyć, ani namówić, ani przekabacić. O honory i zaszczyty nie dbał do końca życia. Wolał niemiecki obóz koncentracyjny i samotną śmierć na więziennym barłogu od zaszczytów dla polskiego Hachy.

Zegnął Stanisława Estreichera, my, dziennikarze, powinniśmy składać przedewszystkiem hold pamięci wielkiego publicysty. Przez lat 20 utrzymał poświęceniem osobistym, bezinteresownością bezprzykładną wielką i dostojną tradycję, potężną i szcawaną trybunę niezależnej myśli. Jeśli na nasz własny zawód możemy spoglądać w dzisiejszych zurzędniczających i służalczych, sparszywiałych czasach z poczuciem dumy i z podniesioną głową, to w dużej mierze zawdzięczamy to temu, iż tyle lat Stanisław Estreicher sztandar naszego cechu trzymał tak godnie i tak wysoko.

W. A. Zbyszewski.

ZEMSTA WALEZEGO

DALSZY CIĄG ZE STRONY 1-cj.

adresem ostatniego rządu wybraliśmy tylko zamieszczony poniżej artykuł p. Grzybowski, byłego ambasadora Rzeczypospolitej w Moskwie nie dlatego, aby tą polemikę przedłużyć, ale aby ją skończyć i już do niej nie wracać.

Ale i ten artykuł wywołuje uwagi.

Pan Grzybowski pisze o moim p. Becka z 5 maja, że to był "najbardziej skryzalizowany wyraz decyzji narodu". Czemuż zapomina, że mowa ta była jednocześnie przyznaniem się do całkowitego bankructwa polityki uprawianej przez kilka lat, była odwołaniem, była przyznaniem się do klęski własnych usiłowań.

Było to pokajanie, a nie tryumf. To tylko Beckowi gotów jestem przyznać, że klęski naszej polityki umiał drapować w szaty tryumfalne. Gdy Niemcy brali Sudety, to on robił tryumf z powrotu Cieszyna, gdy Niemcy brali Austrię, to on robił tryumf z powodu ultimatum litewskiego, które zresztą było również klęską, również błędem, również katastrofą.

Pan Grzybowski pisze, że nie trzeba zapominać o zasługach. Jakież zasługi ma rząd Sławoja? Może ten, że ratował dycyany ze swoich gabinetów, gdy dzieciom rozbijano głó-

wki bombami; — może ma zasługi sam Sławoj, że malował płoty, guly wszyscy w Europie budowali schrony, może Kasprzycki, że zajmował się burzeniem cerkwi i wszystkim co do niego nie należało, prócz woj-ska.

Panie Ambasadorze! Dajmy pokój tej polemice, zbyt jest bolesna. Wróćmy lepiej do przeszłości, do ludzi którzy nas nie shańbili, do Polski Zółkiewskich, Kościuszków, Czartoryskich lub idźmy w przyszłość — zapomnijmy o hańbie wczorajszej. Oto obok zamieszczam feljeton Karola. Ktoś mi powie, że twarde, żołdackie, są jego słowa. Być może. Być może nawet, że odpowiednie by było pełne dostojństwo uroczyste przekleństwo, o stylu i powadze kościelnej anatemy. Ale skoro pióro dziennikarza nie zdoła się wnieść na wyżyny przekleństwa Skargi, to wolej już tą żołdacką brutalność, niż osłabienie naszego sumienia narodowego przez osłabienie potępienia, które działaniem tego ostatniego rządu się należy. Ja gnoju pudrować nie będę. I dlatego drodzy nasi czytelnicy i przyjaciele tym numerem zamknijmy już naszą dyskusję o byłym naszym rządzie. (Cat.)

Najstarszy tygodnik polski na emigracji francuskiej

«POLAK WE FRANCJI»

Redaktor: VINCENT BYSTRZANOWSKI

Adres: 70, Faubg. Poissonniere Paris X. Tel: PROvence 12-73.

LISTY DO REDAKCJI

W Wielkopolsce i na Śląsku skasowano obieg złotych wymieniając je na marki w stosunku 1: 2, w tak zwanym gen. gubernatorstwie wyszedł rozkaz wymieniaenia banknotów 100 i 500 zł. na nowe, drukowane przez niemiecką instytucję emisyjną.

W okupacji sowieckiej zrównano złoty z rublem i oba mają prawo obiegu, przy czem władze stopniowo wycofują złote.

Na Litwie zarejestrowano wszystkie złote i wymieniono je na lity po kursie 40 i 50 litów za 100 zł.

We Francji do listopada konsulatu nasz wymieniał "na paszport" 300 zł. na 1.500 frs., potem zaprzestano

tej wymiany. Czyżby ci, którzy z powodu walk w Polsce przyjechali do Francji po 1-ym listopada mieli być pokrzywdzeni?

Często są to ostatnie pieniądze jakie posiadają. Ostatnio dużo wysyłano rodzinom do kraju — teraz po wymienieniu 100 i 500 zł. banknotów stało się to bezcelowe. Ci co nawet je skupowali w tym celu płacili 40 frs. za 100 zł., obecnie pozostali tylko spekulanci placący 25 fr. za 100 zł.

Co myśli uczynić nasz rząd w sprawie tak bardzo dla wielu palącej?

H. T.

Ostatnie dni Warszawy

W "Revue de Paris" ukazał się artykuł płk. Ordona o ostatnich dniach obrony Warszawy.

21 września. General Rómmel zwołał dzisiaj na naradę komitet złożony z 12 notabli Warszawy. Reprezentują oni wszystkie partie polityczne i są żywym wyrazem zgody narodowej, która zapanowała w mieście. Jesteśmy jakby wielkim obocem warownym, takim jakim był Zbaraż w czasie wojen kozackich, które opisał Sienkiewicz. Żadnych sprzeczek. Żadnych rozbieżności. Żadnych rekryminacji na temat przeszłości, ani żadnych spekulacji na przyszłość. Jest tylko jeden wróg i jedna myśl: wytrwać jak najdłużej. Nie poza tem się nie liczy. Niemiec-ki Dornier i czeski Heinkel, rzucając bomby i opróżniając taśmy karabinów maszynowych na wszystkich bez różnicy, doprowadziły do całkowitego zespolenia. Wszystkie klasy społeczeństwa zaczynają tak samo cierpieć głód. Prezydent Starzyński czuwa nad tym doskonałym zespołem. Widać go wszędzie, w mieście. Pociski nie przeszkadzają mu ani w jego pracy biurowej, ani w przemówieniach przez radio. Co chwilę jego odezwy ożywiają odwagę. Zawsze można doznać u niego przyjaciela, które podnosi na duchu.

Wczoraj poszedłem go odwiedzić na ratuszu. W pierwszych linjach gdzie trzeba pracować pod ogniem, brak nam rąk do pracy. Zapytuje się czy nie zechciałby nam oddać rezerwy policji, składającą się ze starych żołnierzy, którzy przeszli wojnę. Po

chwili namyśli powiedział: "Dokonałe, od jutra będzie pan miał batalion policji. Uprowadź ludność, iż część policji znajduje się w okopach i że każdy obywatel powinien obecnie dbać o bezpieczeństwo publiczne. Do widzenia, pułkowniku, pojadę zobaczyć moich ludzi w rowach."

Myślę, iż prezydent nie zawidił się, pokładając zaufanie w Warszawie. Mimo zmniejszenia służby bezpieczeństwa, bardzo mało słyszy się o kradzieżach lub rabunku. A jednak ulice co noc pogrążone są w ciemnościach; w wielu domach drzwi otwarte są na przestzał, wiele szkielew nie posiada drzwi ani szyb. Trzeba pamiętać również o tej atmosferze strachu, o panice, o nieporządku, o tych ludziach, których lada chwila może spotkać śmierć, nie mających nic więcej do stracenia...

Policja rozpoczęła dzisiaj pracować. Kiedyś tablica pamiątkowa w jej koszarach przypomni tych, którzy zgineli w roku 1939 w obronie Warszawy.

Właśnie przynoszą mi jedną z niezliczonych ulotek, które mi aeroplany niemieckie zasypują nasze traktaty. Przechodnie nawet ich nie podnoszą. A jeżeli ktoś ciekawy na to się zdecydował, spotyka się natychmiast z protestami: "Rzucić to świnstwo! Czy to nie wstyd?!" "Ulicznicy zadzierają równocześnie nos do góry z tryumfującymi minami, jak gdyby nieprzyjacieli z wysoka mogli zobaczyć godne pożałowania wyniki swej propagandy, która trafia czasem pod żyły adres. Warszawiacy podnosili ulotki przeznaczone dla mieszkańców Lwowa, które donosiły, iż "Warsza-

wa się poddała"! Łatwo sobie wyobrazić, jaką radość wywoływały takie pomyłki. I w czasie obłężenia są chwile wesołości.

Lecz tym razem bibuła jest do nas adresowana. Jesteśmy prosieni o poddanie się. Skoro rząd i armia opuściły terytorjum, dalsze opieranie się niema żadnego celu. I dowództwo niemieckie uprzedza, iż powożemy najstraszniejsze zarządzenia wojskowe po północy dzisiejszego dnia, jeżeli opór się przeciągnie. A więc jest to ultimatum. Warszawiacy wiedzą już o tem, iż wszystkie zarządzenia niemieckie są najstraszniejsze. A więc i ta wiadomość nie wydaje się zbyt jasna. Zachęca ona przynajmniej tych, którzy mogą spać w ciągu dnia, ażeby położyli się wcześniej, gdyż nie zapowiadają się mniej spokojnie.

Już w tej chwili nasilenie bombardowania na naszej ulicy jest coraz większe. Dla odmiany — szrapneli. Mój szofer nie postawił auta, które dotychczas uratowało w garażu, lecz na małym podwórzu. Tym raz zbierają je garściami i dra, biegnąc, zem szrapnel grubego kalibru zrobił z poczciwej żółtej maszyny prawdziwe sito. Trzeba będzie teraz chodzić na piechotę albo wystarać się o inną. Mój szofer Janiak, stary artylerzysta, jest strasznie zmieszany i rozsierdzony. Sądził, iż jego maszyna jest tabu. Żadna inna nie wzbudzi w nim więcej zaufania. A nadomiar nieszczęścia, płaszcze, koce, walizki, trzewiki i wszystko co było w środku rozleciało się w kawałki.

Po raz pierwszy tego wieczoru instalujemy na noc w naszym schronie. Jest to zwyczajna piwnica o sklepieniu z cegieł. Wystarczy silny przeciąg, aby się zawalila. Ale przynajmniej ma tę dobrą stronę,

iz głuszy hałas, przedostający się z zewnątrz i jest w niej ciepiej, niż w pokojach, w których w tym klimacie i o tej porze roku, jeśli okna są bez szyb, brak komfortu. Poprostu marzenie się w nocy. Piwnica jest czysta, wydaje mi się, iż niema w niej dużo szczurów. Przynosi się łóżka i ustawa w szeregu, jak w jakiejś wzorowej sypialni. Okienka zapycha się workami piasku. Świec nie brak.

Z humorem urządzamy się w tym nowym lokalu. Oficerowie saperów z sąsiednich bataljonów, wzruszeni biedą naszego sztabu, pozabawionego całkowicie środków żywności, przynoszą nam konserwy i dwie flaszki sliwownicy. Składa mi wizytę mój kuzyn, kapitan, z którym współpracowałem w latach 1919-1920 przy generale Szeptyckim. Stare wspomnienia pomagają nam w spędzaniu wesołego czasu. Ta piwnica jest naprawdę bardzo przyjemna. Ale dobrze po północy, kiedy się decydujemy na spanie, powstaje nieoczekiwane zamieszanie: dwóch naszych sąsiadów zaczyna chrapać w sposób tak grzmący, iż jeden z oficerów saperów, nie mogąc wytrzymać, zabiera swój materac i wraca na górę. Wole — powiada — muzykę pocisków. Zapalam świecę, aby mu pomóc w tych przenosinach. De gustibus non est disputandum!

22 września.

W środku nocy przyszedł łącznik, ażeby nas uprzedzić, iż general, kierujący obroną Pragi, oczekuje nas dziś rano, przed 8-ma godziną.

Płk. Z. zabiera mnie i mojego szofera Janiaka do auta. Janiak będzie szukał dla mnie nowego wozu. Bez przeszkody przejeżdżamy most. Sztab mieści się w suterynie spalonego domu. Jest tu okropnie ciasto, brak światła. Oficerowie i żołnierze

wzajemnie się potracają. Podziwiam, iż mogą pracować w takich warunkach.

To wezwanie nas zaniepokoiło. Co powie nam general? Czy sytuacja się pogorszyła? Na szczęście chodzi tylko o powzięcie kroków, któreby zabezpieczyły podziemne kanały Pragi przed nieprzyjacielem. Poza tym trzeba było zabezpieczyć mosty przed pływającymi minami. Po trzech tygodniach suszy, która na nieszczęście tak sprzyjała rozwinięciu aktywności przez lotnictwo niemieckie, Wisła bardzo opadła. Powstały liczne lawice piasku, które utrudniają zastosowanie środków wybuchowych, ale lepiej jest czuwać. Saperzy będą pilnowali rzeki i ustawały przeskody. W chwili zakończenia raportu, trochę przed 9-tą, wybuchy bomb zaczynają następować w przeraźliwie przyspieszonym tempie. Ziemia ulega takim wstrząsom, iż w naszym schronie wydaje się nam, że czujemy kołysanie okrętu, które przychodzi, ażeby powiedzieć, iż eskadra, złożona z przeszło stu aeroplanów lata nad miastem. Wszystko to obiecywało niezłą zabawę. Przez dobre półtora godziny pułkownik i ja liczyliśmy straty i ocenialiśmy kaliber. Wstrząsy i huk nie kończyły się. Ale jednak trzeba było wykonać rozkazy i pojechać do dyrekcji kanalizacji i wodociągów na drugi koniec miasta, ażeby odnaleźć plan kanalizacji Pragi. Był to najbardziej nieprzyjemny spacer, jaki zrobiłem w moim życiu.

Pułkownik siadł przy kierownicy. Ruszyć z placu Zamkowego nie było łatwo. W ziemi olbrzymie dziury, nad ziemią druty tramwajowe zwisające i zerwane.

Kościół Bernardynów stoi w płomieniach. Na ulicy Podwale trafiony

dom wali się z hukiem gromu. Przy wjeździe na Krakowskie Przedmieście dwa inne pożary, na przeciwko pałacu Potockich eksploduje jakiś samochód. Mój towarzysz, który spędzał dłuższe okresy czasu w Paryżu, z łatwością dawał sobie radę z kierowaniem w wielkim mieście nowoczesnym. Miał sposobność do wykazania swoich talentów. Auto bieгло po górach gruzów, omijało tlejące zgłiszczą i wyrwy i robiło zygaki z jednej strony ulicy na drugą, aby uniknąć niebezpiecznych murów. Chcemy jechać Senatorską i placem Teatralnym, ale ogień zagradza nam drogę. Wracamy na Nowy Świat, który zawalony jest gruzami domu na rogu ulicy Sto-Krzyńskiej. Trzeba zawrócić na ulicę Kopernika. Szukamy drogi, jakby w jakimś nieznanym mieście. W głowie szumi od wściekłego huku. Oczy i gardło gryzie dym. Wszystkie nasze baterie przeciwlotnicze strzelają bez pamięci, sekundują im z dołu do góry karabiny maszynowe. Niemieckie bombowce pikują, aż do dachów, a następnie podrywają się z swiśtem, który aż uszy rozdziera. Przez dobre półtora godziny pułkownik i ja liczyliśmy straty i ocenialiśmy kaliber. Wstrząsy i huk nie kończyły się. Ale jednak trzeba było wykonać rozkazy i pojechać do dyrekcji kanalizacji i wodociągów na drugi koniec miasta, ażeby odnaleźć plan kanalizacji Pragi. Był to najbardziej nieprzyjemny spacer, jaki zrobiłem w moim życiu.

Jesteśmy podnieceni, lecz nie tracimy głowy. Dyrektor Downarowicz przyjmuje nas natychmiast w schronie. Sytuacja wydaje się poważna. Od rana bombardowane są bez przerwy filtry i stacje wodociągów. Główny rezeruar jest zniszczony. Miasto jest bez wody i to na długo. Zamiary nieprzyjaciela nie pozostawiają żadnych wątpliwości, chce on uniemożliwić nam gaszenie pożarów,

Na linii Rydza

Słyszę warczenia, że nie czas teraz na krytykę dawnego, bezczesnego rządu, że trzeba tworzyć przyszłość — nie myśleć o przeszłości.

Rydza też uważał, że zajmowanie się dwoma rzeczami naraz przekracza możliwości nawet takiego geniusza jak on i poświęcając się całkowicie przemówieniom do strażaków i pozostawiając do plakatów ściennych nie myślał o wojsku. Rozgarniętemu człowiekowi pamiętanie o jednej sprawie tylko ułatwia dobre wykonywanie drugiej.

To już byłby szczyt wszystkiego gdyby straszliwa lekcja wrzesniowa poszła na marne. A jeśli przestaniemy mówić o błędach i zbrodniach które katastrofę spowodowały — o coś łatwiejszego jak popełnić je nanow. Kilkuletnie wychowywanie przez bandę kretynów zapuściło głębokie korzenie.

Oto ktoś chce ozdobić świetlicę żołnierską; — gdzieżby można dostać portrety paru naszych ministrów kłopotuje się. — Niema ich. — Niema? Boże, jak ta nasza propaganda fatalnie funkcjonuje.

Jak przyjemnie we Francji, że nigdzie nie wiszą portrety Lebruna, że do druga ulica nie jest imienia Daladiera, że mieszkańcy nie wiedzą jak nazywa się ich prefekt. Ułkami Rydza, Becka i Mościckiego wkroczyli Niemcy do każdego polskiego miasteczka. Bahwochwalczy kult dla każdej kukły co znalazła się w rękach był podwalnią wartościowego systemu. Chyba nie warto o tem zapominać.

Przeświadczenie o własnej doskonałości, ciągle podkreślenie: — nasz system, nasza metoda, naszym zdaniem... pełne tego mieli usta patriotów nieskanalizowanych zaułków.

Zwalczano niby jakiś polski kompleks niższości, wytwarzano nieznośny, niczem nieuzasadniony kompleks wyższości. Czy wiara, że nasza armia jest najlepszą na świecie, nasze fabryki produkują najlepsze armaty, nasza taktyka wojenna jest najmądrzejsza, nasze koleje najsprawniejsze, nasza siła nieznurwana — czy wiara w te pewniki, że powatpiewanie o których, starosta sadzał do paki, a Sławoj do Berezy wyszła nam na korzyść?

Tylko pamiętając o niedawnym obrzydliwym samoderstwie, o bezczelnym zarozumiałstwie i o przypieczętowanym wrzesniowym wynikiem ślepych zaufaniu w nasz rozum i nasze świetne metody — możemy nabyć tak potrzebne skromności i chęci uczenia się od innych.

Nie grzebać w ranach, wołają różni eks-reżimowcy, pora dziś na czyn, nie na krytykę. Te same głosy kwiczyły pół roku temu: — nie pora dziś na krytykę, zapisywać się do ozonu i przygotowywać do obrony kraju.

No i przygotowali. Białe pasy w gazetach opozycyjnych — to była jedyna "linja Rydza".

Oo, jakżeż sobie ciągle wyrzucam, że zamiast pisać konfiskowane systematycznie artykułki nie poszedłem z kijem do prezydium, nie palnąłem po zakutym łbie Sławoja. Każdy co nie pochwałal reżimu, a tacy stanowili przecie ogromną większość, musi sobie zadać dziś pytanie: — czy znobiłem wszystko co mogłem by te zgubne rządy obalić? I uderzyć się w pierś ze wstydem, bo robiło się stanowczo za mało. Psioczenie na rząd szeptem przed swą kucharką — to była najpowszechniejsza forma opozycji. Gdyby tak kijem wymięciono Sławoja z prezydium, może nie pisalby dziś "Mój Baj-Herculanum", i może tam w kraju nie osuwałyby się bezwładnie w błoto szeregi niewinnie rozstrzelanych.

Krytyka jest tak samo potrzebna jak każda inna rzecz. By niepopadać w stare błędy trzeba przedewszystkiem zdawać sobie z nich sprawę. By nie dopuścić pewnych ludzi trze-

które powstają od bomb we wszystkich stronach. A tymczasem raid trwa. Podnoszą się znów eskadry, chcą z nami skończyć. A my mamy już tylko jeden samolot myśliwski i tylko baterje, które co chwila zostają zmuszone do milczenia. Wobec tej bezsilności człowiek gryzie pięści z rozpacz i wściekłości.

Trzy razy próbujemy, korzystając z chwilowej ciszy, wracać na Pragę. I trzy razy pęd powietrza od wybuchających bardzo blisko pocisków sypcha nas spowrotem do naszej dziury. Auto, stojące przy murze pozostało nietknięte. Południe już dawno minęło. Mamy plaży po które przyjechalismy, a więc trzeba jechać za wszelką cenę.

Naprzód więc, na łaskę Bożą. W Alejach Ujazdowskich wydaje się, iż bombardowanie słabnie. Na placu Trzech Krzyży palą się dwa domy. Zatacam luk, ażeby zobaczyć przy-

Sprawozdania kinowe.

Młośnikom historii polecam amerykański film p. t. "Stanley et Livingstone".

W tej chwili nie idzie nigdzie, po swojej premjerze - na Champs-Ely-

Notatki Polemiczne Czarno na Białem

Laciaty tygodnik pik. Januarego Grzędzińskiego zaatakował moją osobę w kilku artykułach w swoim ostatnim numerze.

Uczynił to w formie a) polemiki ideowej b) denuncjacyjek ściśle według wzoru z poczekalni oraz wreszcie c) insynuacji.

Co do polemiki ideowej, to dam kilka słów wyjaśnienia: Nigdy nie byłem beckowcem, bo raczej minister Beck mógł być przez pewien czas uważany za częściowego zwolennika doktryny politycznej "Słowa". Dążyliśmy do porozumienia francusko-niemiecko-polskiego skierowanego przeciwko Rosji. Podkreślaliśmy bardzo dobitnie udział Francji w naszej koncepcji. Czem się polityka min. Becka od naszej doktryny różniła nie będę tego precyzował w dzisiejszej chwili, gdyż nie uważam, aby publiczna dyskusja na ten temat mogła być pożyteczną dla interesów Polski.

Dość, że od chwili Anschlussu występowałem gwałtownie przeciwko min. Beckowi, dość, że już od chwili Anschlussu uważałem, że program porozumienia polsko-niemieckiego się nie udał.

Pan Grzędziński mylił się, jeśli sądzi, że dobrym politykiem w polityce zagranicznej jest ten, kto się trzyma jakiejś jednej koncepcji. Tak samo jak oficer zmienia swe rozkazy i swe koncepcje w miarę rozwijających się wypadków, tak samo politykowi nie wolno odrywać się od rzeczywistości. Uważam po dziś dzień, że program nasz francusko-niemiecko-polskiego porozumienia był w swoim czasie słuszny, był zresztą wtedy podzielany przez wielu ludzi we Francji, — program ten się nie udał, — Beck zrobił wszystko co mógł, aby go zaprzepścić, aby wyciągnąć z niego to wszystko co mogło nam zaszkodzić.

Nie wiem zresztą czy warto odpowiadać p. Grzędzińskiemu w tonie tak poważnym.

Cenzurowane

Robi np. ze mnie chwalec Rydza, Sławoja a nawet Ozonu.

Jeśli chodzi o Rydza to początkowo mieli do niego w Polsce zaufanie wszyscy: — Piłsudczycy, socjaliści i endecy. Zawiedliśmy się wszyscy, ale byłem bodaj że pierwszym w Polsce, który rozpoczął przeciwko niemu kampanję.

Co do Sławoja, to pisałem o nim zawsze, że jest dobrym pisarzem, a nawet doskonałym pisarzem, — i tego po dziś dzień nie cofam, pisałem także, że jest "Komendantem Piłsudskiego wachmistrzem Soroką" — co oczywiście dzisiaj cofam, wachmistrz Soroka w czasie wojny zachowywał się wręcz odwrotnie, aniżeli Sławoj w czasie wojny, wreszcie pisałem w swoim czasie, że mam do Sławoja całkowite zaufanie, jako do Polaka, do patrioty i do człowieka — co mi dzisiaj organ p. Grzędzińskiego przypomina — ale chyba z tego nie wynikało, że mam do niego zaufanie jako do męża stanu, do polityka. Przeciwnie: owe porównanie z Soroką, które stałe powtarzałem wskazywało Sładkowskiemu jego właściwe miejsce.

ba wiedzieć do kogo są podobni. Jak o Kossakowskich, Ankwiczu, Ożarówskim tak i o Rydzu, Sławoju, Mościckim nie mogę myśleć bez skurczu nienawiści.

Większej nawet — bo tamci przynajmniej za rezultat swych działań ponieśli należną zapłatę.

Karol

P. Grzędziński wytyka mi, że pochwalilem "społeczno-polityczną" deklarację ideową "obozu tworzono przez pułkownika Adama Koca". Owszem napisałem, że jest dobra, że jest konserwatywna, napisałem istotnie: "brawo, brawo, brawo." Tylko chyba nie przez zbytek uczciwości i rzetelności p. Grzędziński zapomina dodać, że w tym samym artykule napisałem, że deklaracja jest dobra, ale teraz wszystko zależy od ludzi i od wykonania.

Zresztą szkoda gadać, gdyby był takim "chwalecem" Rydza i Sładkowskiego za jakiego przedstawia mnie organ p. Grzędzińskiego to skądże znalazłby się w Berezie? Czy to za chwalenie rządu wysyła do Berezy? I czemuż to w Berezie nie znalazł się p. Grzędziński, ani nikt inny ze wszystkich rządzących i opozycyjnych dziennikarzy, a właśnie ja. I czemuż to mnie nietylko zamknięto, ale starano się oszkalować w różny sposób, nietylko w czasie mego pobytu w tym miłym miejscu, ale i przedtem chociażby przez usta p. Koca szefa Ozonu i arcykapłana rydochwalców, który wydał przeciwko mnie jeszcze w 1938 r. znaną swą deklarację.

Denuncjacyjki

Organ p. Grzędzińskiego z tryumfem wyciąga, że swego czasu krytykowałem gen. Sikorskiego i nawet prof. Kota.

Na to oświadczam:

Tak jest! Krytykowałem i krytyk tych nie cofam.

Dziś uważam, że powinienem popierać rząd gen. Sikorskiego.

Pozwalam "Czarnemu na białem" uczynić taki użytek z tej deklaracji na jaki ich stać.

Insynuacja

W ostatnim ustępie swego artykułu redakcja "Czarno na białem" dopuszcza się insynuacji twierdząc, że mogłem pisać tak właśnie jak pisałem, dlatego, że korzystałem ze względów Miedzńskiego, dyrektora "Ruchu", "który nas parjasów bojkotował".

Tych, którzy nie znają tych stosunków informuję, że moje spotkania z p. Miedzńskim były zawsze niedobre, nieomal od pierwszego spotkania. "Słowo" było przez "Ruch" sprzedawane, tak jak były przez "Ruch" sprzedawane inne gazety opozycyjne. Czy to istotnie "Ruch" bojkotował "Czarno na białem" czy też poprostu czytelnicy — w to oczywiście wchodzić nie mogę. Wiem tylko, że na pierwszej stronie ostatniego, paryskiego numeru tego pisma skarży się jakiś jego czytelnik, że "Hachette", czyli "Ruch" francuski podrzymuje "Słowo", a upośledza "Czarno na Białem" — widać Miedzński został skolei dyrektorem "Hachette" i w dalszym ciągu staje się zawadą na drodze świetnych losów wydawniczo-propagandowych grupy pik. Grzędzińskiego. (Cat.)

Odpowiedzi Redakcji

Panu Wawrzyńcowi C. w A. Problem poruszony przez Pana w liście z dnia 30 I. br. jest zasadniczego znaczenia. Z pewnych jednak względów nie może on być poruszany na łamach prasy.

**

Redakcja dziękuje uprzejmie Panu Jerzemu W. z Lyonu za oba listy i za miłe słowa w nim zawarte.

**

W odpowiedzi na list p. Stanisława S. z C. z dnia 25 Stycznia redakcja "Słowa" komunikuje, że pana E. na razie niema we Francji. Redakcja będzie się starała aby list Pana został jemu doręczony.

rządu filmów udanych. Doskonalemu aktorowi, Spencer Tracy, powierzono rolę Stanley'a.

Niewątpliwie wzbudzi zainteresowanie szlifowana historia małego Johna Rowlandsa, podrzutka z Saint-Asaph, który przyszedł na świat w tym samym roku, kiedy doktor Livingston wyruszył nazawsze w głąb czarnego łądu. Z jakim wzruszeniem widzi, znający dokładnie przebieg wypadków, oczekiwać będzie legendarnej sceny, kiedy to po uciążliwej wędrówce przez rozprążoną Afrykę, Stanley spotyka wreszcie arabską karawanę niewolników i przez czarnego tłomacza pyta:

— Czy nad brzegami jeziora Tanganyka w wiosce Ujiji widzieliście może białego człowieka?

— Tak widziałem białego człowieka...

— Czy jest młody?

— O nie, jest stary... a przytem chory.

— Czy myślisz, że jest tam jeszcze?

— Widziałem go zaledwie przed ośmiu dniami.

— Hurra! To Livingstone, to Livingstone!

I Stanley notuje w swoich pamiętnikach: "doznałem radości popros-

Józef Lobodowski

WIOSNA KIJOWSKA

Polkrywają się mgłą, gasną oczy niedawnym latem, to, co wczoraj do życia się rwalo, dziś uciążliwy pokrywa liść — noc żalobna nad nami, zarzuciła nas ciemnym brokatem, i nie wiemy, w mroku zagubieni, gdzie i dokąd po bezdrożach iść.

Na dalekiej podolskiej stacji pocatunek Marszałka z Hetmanem bujną wiosną wielkich nadziei zakwitł i zwiędł... Dziewiętnaście razy od tej pory rozwinęły się kiście akacji, i daremnie myśli zbłąkane przyzywają utracony łąd.

Niskie chmury nad głowami płyną, czarne cienie mylą drogę i straszą, znowu wicher gra nad Ukrainą, jak zaklęty, czarodziejski flet — i za naszą wolność i waszą maszerują znów bataljony, wyglądając spod bojowych hełmów zagubionych historycznych meł.

Była wiosna i maj, rozrzucony po jarugach i białkach, jasne oczy młodego żołnierza rozkaz wodza czarował i wiódł; ukraińskich wiatrów gorzałką przepalały się spargnięte usta i walły zbrojne szwadrony na Taraszcę, na Kijów, na wschód.

I od nocnych wojennych alarmów, i od szabli ukraińskiej zamachu, i od gwiazd i od lun...

mienadarmo

za kriań chwytal niespodziany spazm, kiedy księżyc ogromny, czerwony prosto w ślepią ci zażrał, o, Lachy, i przypomniał się myślom zbudzonym twoich ojców zapomniany czas.

Było słońce i bzy, rozkwiecione rozrutnie po sadach, kola armat grzeły w czarnozemiu, — kolowały niebiosą, jak młyn — aż wybuchły gorącą czerwinią czarnych stacji napęczniałe węzły, wyciągnęły się spowrotem na zachód sine żyły wypreżonych szyn.

I pokryły się mgłą, zgasły oczy niedawnym latem, to, co wówczas krwawo się placiło, jutro zimny pieczętował wosk, noc nawista nad światem, poplątała drogi zawile w słabe serca się wkraśla z nareczami smutków i trosk.

A na mrocznej, podolskiej stacji cień Marszałka i cień Hetmana raz do roku zjawiają się razem na czele rot, drży powietrze, przesycone wonią młodych zbroń i rozkwitłych akacji, i po sinych, okolnych kurhanach wrupany przetacza się grzmot.

I umiera wiosna straconą, zagubona w kłótniach i przetargach, i, konając, przystaje w strzemiączach, szuka wzrokiem zagubionych meł... Ale niebem ciemne chmury płyną, cichnie w mroku zniechęcona warga, tylko wicher gra nad Ukrainą, jak zaklęty, czarodziejski flet.

tu szalonej". Pelen nowych sił, dygocząc z niecierpliwością wyrusza w dalszą drogę i wciąż popędza swoją karawanę. Aż wreszcie przychodzi raneek 10 listopada 1871 roku, kiedy przed jego oczyma horyzont nagle rozbiyskuje i zaczyna się mienić, jakby ktoś rozsywał wdali okruchy srebra, a kiedy przysłania ręką oczy, widzi przed sobą nieskończoną przestrzeń wody, dalej wzgórza, które w słońcu mają kolor błękitny, a tuż, wdole, wśród palm wioskę murzyńską brunatną i białą: Ujiji.

Na jego spotkanie wylega cały tłum murzynów, otaczają go zwartym pierścieniem. Szybkością plotka o białym, który podaża w te strony uprzedziła mieszkańców wioski i doktora Livingstone'a. Stanley postępuje naprzód pełen niepokoju: anuż dr. Livingstone nie zechce go zobaczyć? Na końcu murzyńskiego szpaleru, który się przed nim otwiera, stoi biały człowiek, wychudzony, wyglądający na chorego. — "Chciałem go objąć i uściskać, zwierza się w swoich pamiętnikach Stanley, ale on jest przejeź Anglikiem i nie widziałem jak będę przyjęty..."

Stanley podchodzi i unosząc swój kask pyta: — Pan doktor Livingstone, jak mi się zdaje?

— Tak, odpowiada tamten, uchylając kasku z uprzejmym uśmiechem.

Podają sobie ręce.

— Dziękuję Bogu, że mi pozwolił Pana spotkać.

— Jestem szczęśliwy, że mogę Pana tutaj powitać.

Oto w głębi Afryki, po tak długiej samotności wśród murzynów i tak ciężkich przeprawach, spotykają się wreszcie dwaj biali, ale — zamiast rzucić się sobie na szyję z płaczem, uchylają kurtuazyjnie kasków i wymieniają grzecznościowe formułki bo obaj są z pochodzenia Anglikami. Cały charme angielskiego wychowania mieści się w tym jednym zdaniu: — Pan doktor Livingstone, jak mi się zdaje?

**

Prawie na wszystkich przedmieściach grają teraz "Ostatnią młodość" (Dernière jeunesse) z Raimu i Jacqueline Delubac, trzecią żoną Sacha Guityry, którego film z Jacqueline p. t. "Desiré" też jeszcze od czasu do czasu błąka się i powraca, jak wspomnienie przedostatniej miłości, po której przysła czwarta i jak dotąd ostatnia, młodzianka Ge-

CZULY TERMOMETR

Ani o jedną kreskę na termometrze nie podniosła się temperatura przyjaźni niemiecko-sowieckiej po ostatnim przemówieniu Hitlera. O ile w słowach zwróconych do Włoch widać było chęć utrzymania tej samej temperatury, o tyle w stosunku do Rosji, Hitler nie chciał wyraźnie zrobić żadnego kroku naprzód.

A tymczasem p. von Schoer, Ambasador Rzeszy w Madrycie dekoruje generałów hiszpańskich orderem Czarnego Orła, w uznaniu zasług położonych przez nich w walce z komunizmem.

Gdyby tanki sowieckie były dzisiaj w Sztokholmie, tak jak są w Grodnie i w Białymstoku, to może byłoby inaczej może order Czarnego Orła zawisłyby na piersiach Szapoznikowa, czy też generała Sterna, a nie obrońców Alkazaru i Toledo. Może zobaczylibyśmy Stalina w jednym Packardzie z Hitlerem na Unter den Linden, lub Hitlera w Moskwie przed grobem Lenina.

Ale słabość Rosji odsuwa te obrazy. Słabość Rosji umożliwia Hitlerowi polityczną i ekonomiczną organizację Wschodu i południowego Wschodu według jego woli. Dlatego, walcząc na Wschodzie walczy się nietylko z Rosją, ale i także z Niemcami. Uderzenie w Rosję jest także uderzeniem w Niemcy. Pozwolił zorganizować Hitlerowi Wschód i południowy Wschód, to znaczy przygotowywać mu warunki do zwycięstwa na Zachodzie. Dlatego trzeba stwarzać nowe teatry wojny. Trzeba nietylko bronić Finlandii, lecz pomódz do wyzwolenia z pod jarzma sowieckiego narodem kaukaskim. Niemców nie można skutecznie uderzyć na linii Siegfrieda ale można ich dościsnąć w śniegach Finlandii, w górach Kaukazu i w stepach na peryferjach. Zaczem Hitler nie podzielił tej przestrzeni na protektoraty i gaul'y.

Na Konferencji Państw Ententy bałkańskiej w Belgradzie jest nieobecna, a jednak wszyscy czują jej obecność. Stoi jak maza za Marin-kowiczem, za Gafencą, Metaxasem i Saradajoglu, każe im ważyć każde słowo komunikatu. Budzi w nich strach, przyswidi im przed oczy obraz rozlanej krwi. To Polska. Na trzy dni przed konferencją belgradzką Hitler przypomniał Polskę. Co przez to chciał powiedzieć? Chciał ostrzedz Belgrad, Bukareszt, Budapeszt jak zachowa się wobec opornych. Słowo Polska to dziś to samo, co obozy koncentracyjne, żołdacy w zamkach królewskich, nędza i śmierć. I dlatego panowie ministrowie długo wazyli słowa. Już w roku 1920 Bainville pisał, iż wszystkie ententy małych państw zamieniać się będą w ligi neutralności, na wypadek konfliktu między państwami dużymi. Oto jedna więcej z przepowiedni tego wielkiego politycznego proroka XX wieku która sprawdza się z całą dokładnością. Nad Dumajem czeka ją czynów i dlatego tak chciwie słuchają słów Churchilla.

Wśród państw neutralnych jest tylko jedno, które Niemcy zaliczyli otwarcie do swych wrogów, na równi z Anglią i Francją. Niedawno National Zeitung zamieścił mapę Europy w wojnie. Turcja oznaczona została na niej tym samym czarnym kolorem, co Francja i Anglia. Dzienniki niemieckie przestały już litować się nad trudnościami ekonomicznymi Turcji z powodu braku żytu na rodzynki i tytoń i atakują dziś Turcję podobnie jak Polskę.

Turcja jest wśród państw neutralnych najdalej położona od granic Rzeszy. W Syrii stoi armia gen. Weygand, na morzu Czarnym mogą być każdej chwili okręty wojenne angielsko-francuskie. Turcja jest wielkim wylomenem we froncie neutralności. Jest wielkim sukcesem dyplomacji angielskiej i dwóch generałów francuskich Weygand i Hutzinger. Przykład Turcji działać będzie na innych neutralnych, ale proporcjonalnie do wzrostu ilości armat, tanków i samolotów alianckich i ich sukcesów militarnych.

neviève Guityry.

Temat "Ostatniej młodości" jest znany i użyty jak świat — małżeństwo starego człowieka z młodą, rwącą się do życia dziewczyną. Gra Raimu i Delubac sprawia, że przeżywamy tę historię tak, jakbyśmy o niej usłyszeli poraz pierwszy.

"Człowiek z nad Nigru" (L'homme du Niger). Oto jest film, który warto zastawić z "Zoną piekarza", aby dowiedzieć raz jeszcze tezy, że nie miliony wpechnięte w realizację jakiegoś filmu, nie dekoracje i kostjumy są niezbędnymi akcesorjami powodzenia, ale tylko i wyłącznie talent.

W "Człowieka z nad Nigru" wpechnięto właśnie miliony i dobrych aktorów, spędzono tłumy statystów, kazano im biegać, krzyczeć, śmiać się i buntować i co z tego? — całkiem przeciętny film.

A "Zonę piekarza" zrobiono takimi prostymi środkami! Paru ludzi, wieś z drzewem i piekarnią pośrodku, trochę błota i zdawałoby się, że wszystko. A przecież jeden z najlepszych filmów, jakie kiedykolwiek oglądałem. EDDY.

Dom zaczarowany

(Fragment z niewydanej całości)

Mało nas szlag nie trafił, że "obcy" nie tylko iż nie zaprzestał roić o górnych piętach, ale nawet wynajął letnisko pod Warszawą. Zgrzytaliśmy zębami. Jakto, ma na to? Miał nawet na zadatek dla chłopca? Spędzi dwa miesiące na wsi razem ze swymi parszywymi dziećmi, które nie czekając aż my ich, ale one nas od początku nie chciały znać? Tak się szelmy od razu na nas poznały.

Ten obcy wiele nam krwi napsuł, wiele sprowadził łez do naszych oczu, wiele rozwinął w nas marzeń i tęsknot, nasunął wspomnień gorętszych i słodszych niż nienawiść z zazdrością, co nas wtedy opętały.

Mówią, że "prawdziwych" przyjaciół poznajemy dopiero w nieszczęściu. A jakże. Poznajemy ich dopiero wtedy, a raczej cierpimy na ich brak, gdy nam się dobrze powodzi i gdy z przerażeniem zauważamy, iż jesteśmy osaczeni ze wszystkich stron zazdrośnymi wrogami.

Jeżeli w chwili pogodzenia znajdzie się takiego, który na równi z nami będzie się cieszył naszym szczęściem — o, to będzie dopiero prawdziwym przyjacielem.

Gdy sobie przypomnę obcego, to przecież tylko czyhałymi na tę chwilę, aby mu móc współczuć. Nie byłoby ofiary, jakiejś dla niego nie poniesi. Ale że ofiar nie potrzebował na razie — czepialiśmy się go jak jadłowite osty.

Cierpieliśmy. Złazcza wieczorami, kiedy namiętny oddech maja, przesycony zapachem zroszonej deszczem ziemi, wieszal się na naszych firankach.

Meczaliśmy rodziców o wyjazd na letnisko. Nic nas nie obchodziło, że ci, których kochaliśmy gorąco gdyśmy się nieopatrnie zagubili, a którzy, co tu ukrywać, byli nam nieznośni gdyśmy znajdowali się blisko nich — nie mają pieniędzy.

Ciągnęło nas w świat, gdyśmy patrzyli nań z naszych małych, bezpiecznych okien, ani przeczuwając, że dom jest tylko jeden — i biada temu, kto odjeżdżając, obróci oczy na miejsce, skąd powstał.

A matka już utulała się do snu, aby zapaść w nocne mary, z których miał ją wyzwoleń ostry, kłujący, jakże dobrze znany ludziom pracy, *čas do restawania*.

Doprawdy, że nie wiadomo co dla niej było gorsze, czy te przeraźliwe mary, czy ten zimny świt.

My wyliśmy nieustępliwie. My dopiero zaczynaliśmy snuć nasze tęsknoty podsyte wspomnieniami. Najpierw zamajaczyła nam zielen, rzeka — i już byliśmy w Strudze, gdzie stary las zastąpiony częściami młodym zagajnikiem, opętany po brzegach drzącą brzezina, naznaczony jesienną porą czerwienią jarzyny — ciągnął nas w głąb siebie. Oświetlał nas zapach gęstego, szyszkowego dymu, zapach mącznych zartwien i sobotnich przyjaźni ojca — i napotykalimy w tym czarowym obrazie ciernie naszego

dzieciństwa, jak i ślady naszych bosych stóp na piaszczystej drodze, iż zarysowane jakby sztychem, czarne w słońcu sosny na żółtym wzgórzu. Tak jest pod Warszawą.

Tak było w Strudze. W Strudze, do której i tego lata również nie mogliśmy pojechać.

I co z tego wynika? Że wrzeszczeliśmy po nocach ze strachu i tęsknoty.

A zaczynało się od tego, że siedzieliśmy z matką na czerwono krytej, posypanej piaskiem werandzie, w jakiś sobotni, czysty, seledynowy wieczór — zapatrzeni w gesty, tajemnicze krzewy agrestu. Ile nas było wtedy — nie pamiętam. Wiem, że byłam, jak i zawsze zresztą, niestety, najstarsza, z tym nie bardzo pogodzona, że za wszystkie dzieci grubo odpowiedzialna, że matka tuliła w swoich ramionach któregoś z nas najmłodszego, to najmłodszego małenstwo, co jeszcze dawało się oszukiwać, co jeszcze nie orientowało się, że matka w swej tkliwej ciepłocie nie tylko jego już tuli. Bowiem w niej rozwijało się nowe. Biedny nasz bracieczek ani przypuszczał, że nie on jeden dzieli jej czułość. A my starsi już się wszystkiego domyślaliśmy i musieliśmy się pogodzić z tą konieczną niesprawiedliwością.

Leżąc oto stamtąd, z pod płotu i gdzie chyba było najczarniej na świecie — unosiła się mgła. Taka mgielka, co to na początku niby nie, a potem układa się w groźne kształty niedawno zmarłej babki, lub przypomina kogoś z niemitych znajomych, który ostatecznie mógłby jeszcze żyć gdyby się "na czas" wezwał lekarza, a umarł.

Wytrzeszczaliśmy oczy i tuliśmy się do matki, czekając w dręczącej nadziei, że potwierdzi choć mrugnięciem oczu, to czego z całej duszy pragnęliśmy.

Ale niestety, nie zawsze przytuliła. Bowiem gdy ostatnia kolejka przesunęła się przed naszym letniskiem, leniwie stukając kołami o szyny, a ojciec nie przyjechał — mówiła zniechęcona: nie ma duchów. Są tylko złi ludzie.

Wtedy — ufając jej — markotni, szliśmy bez obawy, najpierw w krzewy agrestu, a potem wylaziliśmy pojedynczo aż za płot. Ale dalej nie mieliśmy siły. Ciepło naszego domu trzymało nas jak magnes. Jak trzyma do dzisiaj.

I tu, nie mogąc sobie poradzić z pasją, która nas we śnie i mająkach gnała w srebrną otchłań letniej nocy — zaczęliśmy wrzeszczeć.

Matka budziła nas — i zapadaliśmy w odmienne, głupie, nie nam już nie przynoszące, sny.

Dosłownie pękając z zazdrości, bo tak nas rozszadzały łzy, żal i zazdrość, przypatrywaliśmy się, poopierani plecami o ciepłe ściany naszych oficyn, grzejąc boscie brudne stopy w żółtawych płamach palącego, gorzkiego dla nas w tej chwili słońca, jak obcy "wybierał się" na letnisko.

Stało nas: ze dwadzieścioro dzieci. Od chwili gdy zajeżdżał po graty chłopski wóz i od chwili gdy obcy "wiecznie podniecony rojeniami" omal że nie wypadł na powitanie chłopca przez okno — aż do wieczora śpiewaliśmy chórem:

Jedzie, jedzie pogotowie
Jedzie tu i tam,
Jedzie tu i tam,
Jedzie tu i tam —

Aż zajedzie na Mostową
I zatrąbi nam,
I zatrąbi nam,
I zatrąbi nam.....

Obcy aż skręcał się ze wstydu. Chciał nas zagłuszyć gwizdaniem, krzykiem, przekleństwami, chciał nas przekupić landrynkami (jedyne raz w życiu kiedy nie daliśmy się podejść) — nie ruszyliśmy się z miejsca.

Mostowa i pogotowie — to była przeszłość obcego. Ta zła przeszłość, co za nie da się schować pod ziemię. Zawsze wylezie.

Kiedys, w zły godzinie dla obcego, o zmierzchu, zawędrowała do naszego domu plotka, że ten nasz obcy, upiwszy się na jakichś imieninach czy czymś gorszym, omal nie wyrzucił nożem całej swojej rodziny. Ale rodzina, mając do niego jakieś stare pretensje, sprytnie skorzystała z sytuacji — więc właśnie na Mostową po niego tylko pogotowie przyjechało.

Wobec tego, że zawsze pilnie przestęraliśmy naszych pochodzeń — takie rzeczy, jak po pijanemu rzucić się na rodzinę z nożem, były u nas przyjmowane z wielką pogardą, a nawet z lekceważącą niewiarą. Czy być może?! — rzucaliśmy w wyższość. — Coś takiego nigdyby się nam nie mogło przytrafić.

Ale nasza pogarda, to jeszcze nic w porównaniu z tym, jak bardzo mieliśmy za złe obcemu, iż wypiera się Mostowej. Żelgał, że przywędrował do nas z Chłodnej. Stawaliśmy w obronie Mostowej. Jakto, czy ma być gorsza od Chłodnej? Z jakiej racji?!

Bowiem nam Mostowa była specjalnie droga: tam urodziła się i wychowała nasza matka, z którą, pewnego najpiękniejszego dnia naszego życia, tak się spoufaliśmy, że przezwaliśmy ją "naszą Ołą". Czy można się wobec tego zaprzeczyć którejś z ulic Starego Miasta, które było krajem naszej matki?

A obcy, który również stamtąd pochodził, tak się zatrucił, iż nie przyznawał się nie tylko do Mostowej, ale i do cichej Kanonii, ulicy, która właściwie jest już tylko dla księży i gołębi, i gdzie matka nasza zagapiała się w niebo i stąd kolor jej oczu; obcy nie przyznawał się ani do Podwala, ani do Piwniej, ani do pachnącej święconą wodą Św. Jańskiej, skąd matka wszczępiała nam wiarę w sprawiedliwość; nie przyznawał się również do Wąskiej Dunaju, która na zawsze pozostanie dla nas mroczna, bowiem stamtąd nasza Oła, mając cztery lata,

zgubiła drogę do domu, na Mostową. A obcy takiej ulicy się wypiera. To nas obrażało do żywego.

Doskonale były nam znane i inne wstydlivości rodziny obcego. Obiecywali nam przez cały maj, ba, przez cały czerwiec, że "balii ze sobą nie wezmą". Że niby tak im się już dobrze powodzi, iż "pranie" będą odawać poza dom.

A teraz właśnie chodziło im o to, żeby ten "fortepian" naszych małych, brudnych mieszkań, niepostrzeżenie przetransportować na wóz, który czekał przed bramą podwórza.

Nie ruszaliśmy się z naszych miejsc. Ignorowaliśmy wołanie naszych matek, które najprzeróżniejszym, jaki można sobie wyobrazić, głosem, wołały nas na obiad.

Mimo, że wiedzieliśmy co nas za to potem czeka, ani drgnęliśmy. Doczekaliśmy się wreszcie, że obcy plunął w naszą stronę, sam turlał balie przez schody, a następnie przez podwórze, aż mu się rozłożyła jak wachlarz — i nie było co zbierać.

Obcy, nie ukrywając już wściekłości, wrzucił do ordynarne "klawiszki" do zagnojonego swego kubła — i plunął powtórnie w naszą stronę, poszedł pogłaskać chłopskiego konia, tak mimochodem, tak niby z przyzwyczajenia, tak już "z dzieciństwa" — i drogo go to kosztowało. Bo koń ani drgnął. Ale obcy wiecznie drząc żeby go coś niespodziewanego nie spotkało, lękał się nawet cienia przelatującego ptaka. I właśnie dlatego odskoczył. Wtedy dopiero koń pokazał co jeszcze potrafił. Zatrzął — i pociągnął w galopie wóz z parszywymi gratami.

Nigdy żemy się tak nie umieli. Koń pognał aż na Marienstadt. Z wyciem, potrącając obcego, biegłszy, zbierając po drodze części krzesła, nogi od stołu, jakieś deski. Pomogliśmy ohotnie obcemu podnieść wóz i poskładać graty.

Zupa nam nawet nie smakowała, tak nas dawiły chichoty. Ale potem nastąpiła szarob.

Mimo tych licznych niepowodzeń, obcy jednak o godzinie piątej wieczorem zapakował na wóz wszystkie swoje "meble" wszystkie garnki łącznie z urynałami, całe swoje potrzebne i jakże potrzebne, jedyne bogactwo — i usadowiłszy się na betach, odjechał razem z rodziną na letnisko.

Dzień gasnął. Na Wisłę, na Marienstadt, na Sowią, Dobrą, Bednarską padł ciepły półmrok.

Ale nam było zimno.

Bo przecież nie my będziemy ślepnąć od złota zachodzącego za lasy słońca. Nie my będziemy się niepokoić o graty, gdy odpadnie koło od wozu. Nie my będziemy przeżywać niespokojną, nachodzoną przez złoździej, pierwszą noc na letnisku — i nie my powitamy po nieprzespanej nocy, różowy, czarowny wschód słońca — letniego podwarszawskiego poranka.

Kalendarz wojenny

Środa 31 stycznia

Wojna fińsko-rosyjska wykazuje w dalszym ciągu przewagę taktyki Finów, odpierających wszystkie ataki. Finowie bombardują Kronsztadt z aeroplanów.

Jedna łódź podwodna niemiecka została zatopiona przez bomby zrzucone z hydroplanu niemieckiego.

Min. Spr. Zagr. Japoński Arita wygłosił przemówienie w którym, stwierdzając poprawę stosunków Japonii z Rosją Sowiecką, zaznaczył jednocześnie, że polityka oparta o pakt "antikominteru" pozostaje bez zmiany.

Czwartek 1 lutego

Wojska Fińskie odnoszą lokalne zwycięstwa. Liczba aeroplanów sowieckich, zestrzelonych przez Finów od początku wojny, wynosi 287.

Piątek 2 lutego

Wojska Sowieckie rozpoczęły nową ofensywę, atakując linię Mannerheima. W dalszym ciągu bombardują z powietrza niebronione miasta fińskie.

Źródła niemieckie podają liczbę stu aeroplanów niemieckich, zestrzelonych przez siły angielskie od początku wojny. Staty angielskie wynoszą 31 samolotów za ten sam okres.

Ambasador R.P. złożył w włoskim M.S.Z. raport, dotyczący okrucieństw niemieckich w Polsce. Raport ten podaje m. in. cyfrę około 15.000 osób rozstrzelanych przez Niemców.

Sobota 3 lutego

Na froncie fińsko-sowieckim niema większych zmian, chociaż ataki rosyjskie wykazują lepsze niż dotąd przygotowanie. Nadchodzące wiadomości są zgodne, że Finowie otrzymali już pierwsze posiłki w formie aeroplanów, co pozwoli im zarówno zwalczać skuteczniej ataki lotnicze na otwarte miasta, jak też przechodzić do kontrataków w powietrzu.

Szef rządu fińskiego Risto Ryti w wywiadzie udzielonym przedstawicielowi agencji Havas oświadczył, że Finlandja gotowa jest do zawarcia układu z Rosją Sowiecką, pod warunkiem jednak uszanowania jej świętych praw. "O ileby Sowiety się na to zgodziły, wojna została by ukończona bez względu na to czy wojna europejska będzie trwała w dalszym ciągu. Jeśli jednak wojna fińska będzie się przedłużać, możliwym jest, że wcześniej czy później, stanie się ona odcieniem wojny europejskiej."

W artykule wstępnym *Pravdy* moskiewskiej czytamy: "pozar drugiej wojny wznieconej przez imperjalistów angielsko-francuskich dosięgnął granic naszego kraju". Dziennik podkreśla, że walka którą toczą Sowiety jest walką o komunizm.

Niemcy prowadzą w d. c. intensywną wojnę przeciw statkom handlowym państw neutralnych. Każdy dzień przynosi wiadomości o zatopieniu statków szwedzkich, norweskich, duńskich, holenderskich lub belgijskich. Marynarka szwedzka straciła dotąd 4% swego tonażu. Statki innych państw neutralnych, jak Stanów Zjednoczonych, Włoch, Japonii są oszczędzane przez Niemcy — należy to przypisać nie tylko faktowi, że zaprzętały one pływać po morzach północnych.

Niedziela 4 lutego

Wojska sowieckie zostały odepchnięte od linii Mannerheima, przyczem poniosły ciężkie straty. Finowie kontratakują na północ od jeziora Ładoga. — Zaczynają nadchodzić wiadomości prasowe wskazujące na udział lotników niemieckich po stronie sowieckiej.

Poniedziałek 5 lutego

Poselstwo Finlandji w Londynie ogłasza wiadomość o nowym wielkim zwycięstwie — XVIII dywizja sowiecka została rozbita przyczem w ręce Finów wpadła bardzo wielka ilość materiału wojennego.

W Paryżu odbyło się piąte w kolei posiedzenie Rady Najwyższej w którym ze strony angielskiej wzięli udział premier Chamberlain, min. spr. zagr. Lord Halifax, pierwszy wice admirał Churchill i inni.

Komunikat wydany w Belgradzie po ukończeniu 8-jej sesji Porozumienia Bałkańskiego, które obradowało w dniach 2-4 lutego wskazuje na dalsze wzmocnienie tego ugrupowania państw. Komunikat wylicza w szczególności następujące punkty: utrzymanie pokoju na południowym-wschodzie Europy; Porozumienie Bałkańskie nie jest skierowane przeciw nikomu i czuwa nad utrzymaniem niepodległości i stanu terytorialnego każdego z jego członków; dążenie do utrzymania przyjaznych stosunków ze sąsiadami; potrzeba rozwoju stosunków ekonomicznych między państwami bałkańskimi. Pakt bałkański został przedłużony o dalsze 7 lat począwszy od 9-go lutego 1941. — Poza komunikatem urzędowym podkreślić należy, że według posiadanych wiadomości nastąpiło dość znaczne wyrównanie stosunków pomiędzy Bułgarią a Porozumieniem Bałkańskim. Min. Spr. Zagr. turecki Saradjoğlu, który w drodze do Belgradu zatrzymał się w Sofji mógł co do tego przywieźć pozytywne wiadomości po swoich rozmowach z bułgarskimi mężami stanu. P. Saradjoğlu zatrzyma się powtórnie w Sofji w drodze powrotnej. — W przemówieniu min. spr. zagr. rumuńskiego Gafenco widzimy zwroty wskazujące na polepszenie się stosunków z Węgrami. — Zaznaczyć również należy, iż układy Turcji z Francją i Anglią zostały formalnie uznane za nie będące w sprzeczności z udziałem Turcji w ramach Porozumienia Bałkańskiego. — Prasa włoska wyraża wielkie zadowolenie z rezultatów konferencji belgradzkiej, podkreślając równocześnie zbliżenie się Turcji do Włoch.

Wtorek 6 lutego

Powtarzają się pogłoski prasowe z państw neutralnych północnych o zamierzonych próbach medjacji niemieckiej w konflikcie fińsko-rosyjskim. Wskazywały na to mogli zarówno przyjazd do Berlina ambasadora Rzeszy w Moskwie von Schulenburga i posła w Helsinkach von Blüchera, jak też większa bezstronność z jaką prasa niemiecka omawia przebieg tej wojny. Dodać należy, że rząd niemiecki udzielił ostatnio exequatur 2 konsulom fińskim, przez co w dalszym ciągu uznaje rząd w Helsinkach, a nie fikcyjny rząd komunistyczny w Terijoki.

Przez cały ubiegły tydzień nie było ważniejszych zdarzeń na froncie zachodnim.

Warszawski Pierwszorządny, Krawiec Wojskowy

GOTHARD
23, rue Clauzel — Paris 9° Tel. TRU. 03-37.
przyjmuje zamówienia na umundurowanie pp. Oficerów Arm. Pol. i Lotnictwa, według ścisłych przepisów. Sprzedaż płaszczy skórzanych, dodatków i haftów wojsk. Ceny niskie.

OD ADMINISTRACJI

PRENUMERATA TYGODNIKA "SŁOWO" WYNOŚI
Miesięczna 7 Kwartał 20
Półroczna 40 Roczna 80
Konto Banku P.K.O. 74

Rodacy w Kanadzie dla Polski

—oO—

Przy kanadyjskim Czerwonym Krzyżu powstała ostatnio Sekcja Polska pod kierownictwem p. Jana Pawlicy. Kanad. C.K. podjął wielką akcję propagandową na rzecz pomocy Polsce. We wszystkich osiedlach polskich od Montrealu aż po Winnipeg odbyły się zebrania, wiec i narady, w których wzięli udział konsulowie polscy, proboszczowie polskich parafii oraz prezesi i przedstawiciele wszystkich (poza komunistycznymi, oczywiście) organizacji polskich, tudzież prasy polskiej wychodzącej w Kanadzie.

W wyniku tej akcji Polonia kanadyjska zebrała i wręczyła Kanadyjskiemu Czerwonemu Krzyżowi, z przeznaczeniem na pomoc Polsce, sumę 16.561.39 dolarów. Oprócz datków pieniężnych zebrano dość poważną ilość materiałów takich jak ciepłe odzież i bielizny, koców, kolar, swetrów, obuwia, skarpetek itp. W tej dziedzinie były czynne i wybitnie zasłużyły się Komitety Kobiet Polskich pracujące w ramach Kanadyjskiego Czerwonego Krzyża w Montrealu, w Toronto, w Hamiltonie, w Winniepiegu i innych miastach kanadyjskich. W Toronto, Komitet Kobiet Polskich zebrał 39 skrzyń wagi 200 funtów każda z odzieżą, bielizną itp. W Winniepiegu Komitet Kobiet sporządził 386 swetrów oraz zebrał 2.000 puszek konserw mięsnych, zupnych i jarzynowych oraz sporą ilość papierosów.

Materiały te zostały wysłane dla naszych rodaków na wychodźstwie i w kraju. Jednocześnie nadmienić należy, że kanadyjski Czerwony Krzyż przeznaczył od siebie jako pierwszą kwotę dolarów 25.000 na pomoc Polsce, i zwrócił się do ambasady R.P. w Londynie celem ustalenie w jaki sposób najwydatniej będzie można użytkować tę pierwszą dotację, która powiększona o sumę około 16.000 dolarów, zebraną przez nasze wychodźtwa w Kanadzie, daje kwotę dolarów 41.000. Jest to tylko początkowa dotacja, która będzie stopniowo zwiększana i rozszerzana.

Ponadto Kanad. Czerw. Krzyż wysłał na pomoc Polsce 3 tony odzieży zimowej, różnych materiałów i medykamentów dla polskich uchodźców, zwłaszcza na Litwie. Akcja na rzecz Polski znalazła żywe poparcie Generalnego Gubernatora Kanady i jego małżonki, którzy wygłosili na początku kampanii Czerwonego Krzyża specjalne przemówienia przez radio, w którym gorącymi słowami podkreślili konieczność niesienia szybkiej i wydajnej pomocy Polsce w jej tragicznej sytuacji. Cała Polonia Kanadyjska z wdzięcznością również wspomina nazwiska Prezesa Kanadyjskiego Czerwonego Krzyża p. Normana Sommerville'a, głównego komisarza K.C.K. Dra F.W. Rotley'a i prowadzącego dział Polski K. C.K. Dra N.C. Coldwell.

Jedyna Polska Instytucja Finansowa na Wychodźstwie

Bank Polska Kasa Opieki S. A.

ODDZIAŁ W PARYŻU

23, rue Taitbout, Paris 9°

Metro: Opera i Chaussée d'Antin

AGENCJE: Lens, Montceau-les-Mines,

PRZYJMUJE WKŁADY :

NA KAŻDE ŻĄDANIE I TERMINOWE

BIERZE UDZIAŁ WE WSZYSTKICH

poczynaniach gospodarczych Wychodźstwa, jako Skarbnica polskich organizacji i Towarzystw, które powierzają jej swe fundusze **POŚREDNICZY BEZINTERESOWNIE** w zbiórkach na cele narodowe i społeczne

ZASILA KREDYTAMI POLSKIE PŁACÓWKI

gospodarcze i kulturalne we Francji

Bank P.K.O. cieszy się zaufaniem Wychodźstwa

ODDZIAŁY: Buenos-Aires, New-York Tel-Aviv.

Warszawski pierwszorządny krawiec wojskowy

LEON

75 Bld. Ornano Paris. Metro Clignancourt.

Umundurowanie dla P.T. Oficerów armii polskiej i Lotnictwa z materiałów przepisowych. Sprzedaż dodatków wojskowych.

Ceny niskie — szybkie wykonanie.